



Rozdział 1

Ekozgraja

Był piękny, kwietniowy poranek. Słońce świeciło jak zwariowane, zupełnie jakby chciało nadrobić czas, który straciło w pochmurne i krótkie dni jesiennych oraz zimowych miesięcy. Antek i trójka jego przyjaciół jechali do szkoły rowerami. Nie był to wcale dzień bez samochodu, bo ten wypada we wrześniu – po prostu uznali, że w taką pogodę powinni skorzystać z innego środka komunikacji. Zaoszczędzili w ten sposób trochę czasu rodzicom, a środowisku zafundowali mniej spalin. Zwykle rano jeździli szkolnym autobusem, ale było już popołudnie. Dzieci zmierzały na zajęcia dodatkowe koła przyrodniczego. Lekcje skończyły dość wcześnie i nie chciały czekać trzy

godziny w świetlicy. Wróciły więc na obiad i krótki odpoczynek do swoich domów, by z nowymi siłami pojechać do szkoły.

– Nie pędź tak, Antek! – wołała Julka. Z całych sił naciskała na pedały.

Ledwie mogła nadążyć za kolegą, który najwyraźniej próbował pokazać wszystkim swoją szybkość. Dziewczynka zwykle była ostrożna i niechętna do rywalizacji, tym razem chciała jednak dotrzymać kroku koledze – pierwszemu do działania i do wygłupów. Jasne loki zaczęły kleić się do jej czoła, a na małym, zadartym nosku pojawiły się kropelki potu. Była na siebie trochę zła, bo wiosenne przegrzanie groziło ciągnącym się przeziębieniem. Na szczęście przewidywała takie problemy i włożyła specjalny podkoszulek o trudnej nazwie „termoaktywny”, dzięki czemu mogła sobie pozwolić na nieco więcej niż zwykle.

– Przecież i tak zdążymy! – krzyknęła Zuzia. Nie przejmowała się zupełnie tym, że jechała jako ostatnia.

W jej naturze nie leżało zamartwianie się na zapas. Znana była z tego, że zawsze jest pogodna i uśmiechnięta. Czarne kitki powiewały wesoło po bokach jej okrągłej buzi, jakby igrając z lekkim, wiosennym wiatrem.

Franek, który znalazł się tuż przed nią, odwrócił się i zwolnił.

– Masz rację – wysapał. – Moja babcia zawsze mawia: „Gdy się człowiek spieszy, to się diabeł cieszy”, a babci słucha nawet mama.



Franio był zrównoważonym i spokojnym chłopcem, a słuszną wagą i masywną budową nie skłaniały go do sportowych szaleństw. Krótka fryzura sprawiała, że wydawał się pulchniejszy niż w rzeczywistości, a ciemne, brązowe oczy chowały się nieco pod kanciastymi okularami.

Ścieżka rowerowa biegła nadal prosto, ale dzieci musiały skrócić i kontynuować podróż chodnikiem. Powinny więc zachować szczególną ostrożność i uważać na pieszych. Antek jednak nie przejmował się przepisami. Chyba poczuł się jak prawdziwy jeździec na koniu, bo poderwał przednie koło, jakby spinał rumaka ostrogami, i głośno zawołał:

– Iha, ha! – Po czym rozpędził się jeszcze bardziej.

Pewnie oglądał jakiś film historyczny, o kowbojach albo o Zorro, bo bardzo wczuł się w rolę. Wszedł ostro w zakręt, wciskając jednocześnie tylny hamulec, co sprawiło, że rower wykonał półobrót. Opony pisnęły przeciągle. Efekt faktycznie okazał się widowiskowy.

Z pewnością młody rowerzysta byłby z siebie dumny, gdyby nie to, że omal nie wpadł na dwóch panów. I to na jakich! Przypadkowi przechodnie nie zrobiliby na chłopcu większego wrażenia, jednak Antek miał pecha i niemalże wjechał w funkcjonariuszy policji, którzy pieszo patrolowali okolicę. Chłopiec poczuł, jak serce mu łomocze, a żołądek podchodzi do gardła. Zupełnie nie wiedział, jak się zachować. Zeskoczył z roweru i zaczął coś mamrotać pod nosem.

– Dokąd zmierzasz, dzielny rycerzu? – zapytał jeden z policjantów.

Najwyraźniej to, że mężczyzna został prawie rozejchany przez rowerzystę, nie popsuło mu dobrego nastroju.

– Chyba rumak cię trochę poniósł? – przyłączył się drugi. – Bo nikt rozsądny nie pędziłby tak po chodniku.

– No chyba że jeździec bez głowy! – odpowiedział pierwszy mundurowy.

Antek pokiwał głową na znak, że w zupełności zgadza się z policjantami, i zrobił pokorną minę.

– Uważaj, Dziwaku – powiedział jeden z nich, używając nazwiska chłopca. Najwyraźniej znał jego rodziców, bo przecież Antek się nie przedstawiał. – Tym razem skończy się na pouczeniu, ale będę cię miał na oku. Zastanowię się też, czy nie porozmawiać z twoim tatą.

Policjant pogroził palcem, po czym obaj funkcjonariusze udali się w dalszą drogę.

Przyjaciele jadący za Antkiem dotarli w samą porę, aby wysłuchać zakończenia. Wszyscy byli trochę przestraszeni. Julka pierwsza zabrała głos, by obrócić niezręczną sytuację w żart:

– Hej, Dziwaku! – zawołała. – Jak ty się szybko opaliłeś! – Wskazała na policzki kolegi oblane rumieńcem.

– Zupełnie jakby wracał z plaży – potwierdził Franek.



– Eee tam – mruknął Antek i machnął ręką.

Było mu głupio, że z popisu nic nie wyszło. Wyraźnie nie chciał o tym jak najszybciej zapomnieć, bo wskoczył ponownie na rower i ruszył przed siebie. Teraz jednak jechał powoli i z należytą rozważą.

Mimo maleńkich kłopotów dotarli do celu na pięć minut przed wyznaczonym czasem. Szkoła nie była wielka jak na miejskie standardy, bo mieściła trzysetu uczniów. Dwupiętrowy budynek z jednej strony otaczały boiska do piłki nożnej i koszykówki oraz bieżnia, z drugiej strony przylegały do niego tereny zielone. Częściowo porastała je trawa, na której rosło kilka krzewów i niewysokie jeszcze drzewka. Elewację do wysokości pierwszego piętra pokrywały malunki

przedstawiające łąkę i las, co nadawało budynkowi bardzo przyjemny wygląd.

Pani Ewa ucząca przyrody rozmawiała właśnie z konserwatorem, który stał przy maszynie przypominającej kosiarkę. Pan Robert zajmował się nie tylko naprawami sprzętu, ale także pielęgnacją trawników. Dzieci ustawiły rowery na stojakach i podeszły do czekającej już grupki, złożonej z uczniów innych klas. Byli to: Maja, Janek, kilkoro dzieci, których imion jeszcze nie znali, oraz rodzeństwo z Ukrainy: Zahar i Ołena.

Pani Ewa przywołała wszystkich do siebie.

– Witam was na pierwszym spotkaniu koła przyrodniczego Ekozgraja – zaczęła. – Pierwszym zadaniem, jakie mamy do wykonania, jest przekształcenie trawników znajdujących się przy szkole w łąki kwietne. Omawialiśmy to na lekcjach. Czy ktoś pamięta, dlaczego należy to robić?

– Dla oszczędności – wyrwała się Maja, bo właśnie ten powód wydał się jej najważniejszy.

– Dobrze – potwierdziła pani Ewa. – A jakich?

– Nie trzeba będzie kosić i podlewać trawy – włączył się Franek.

– Zgadza się – potwierdził pan Robert. – Łąkę wystarczy kosić raz lub dwa razy w roku, a trawnik wymaga przycięcia nawet co tydzień. Ponadto łąki nie trzeba podlewać, wystarczy jej deszcz. Zaoszczędzi to wiele godzin mojej pracy, spory zasób energii elektrycznej lub paliwa oraz mnóstwo wody.

– Równie ważne jest wzbogacenie przyrodnicze terenu – dodała pani Ewa. – Na łące znajdziemy bogactwo roślin i owadów. Trawniki natomiast to uboga przyrodniczo uprawa, zwana **monokulturą**. Ponieważ łąkę utworzymy na razie na części terenu, sami będziecie mieli okazję zobaczyć różnicę. Łąka będzie bowiem sąsiadować z trawnikiem.

– Ja na dzisiaj zrobiłem swoje – wtrącił się pan Robert – więc zabieram glebogryzarkę i zmykam do domu. – Powiedziawszy to, pociągnął maszynę podobną do kosiarki i udał się do garażu.

– Dziękujemy – zawołała za nim pani Ewa, a dzieciom wskazała fragment przekopanej ziemi. – Jak widać maszyna zastąpiła żmudne i męczące kopanie szpadlem. Mamy całkiem spory kawałek terenu przygotowany pod zasiew. Włóżcie, proszę, kalosze i fartuchy, aby się nie zabrudzić, a ja rozdam wam grabki. Musimy ręcznie usunąć kępy traw z korzeniami, te, które pozostały gdzieś tam. Jeśli tego nie zrobimy, trawnik szybko zajmie miejsce kwiatów.

Julce, dbającej o czystość i ładny wygląd, nie trzeba było dwa razy powtarzać instrukcji. Jednak Antek, który był do wszystkiego pierwszy, od razu chwycił grabie.

– Hola, hola – powstrzymała go pani Ewa, pilnująca, aby dokładnie wykonał polecenie.

Chłopiec nie był z tego zadowolony, bo strój utrudniał mu sprawne poruszanie, ale nie znalazł innego wyjścia.

– Jeszcze rękawiczki. – Kolejny raz powstrzymała go pani, kiedy zabierał się do pracy. Podała mu parę z czerwonymi, gumowanymi palcami, i wyjaśniła: – To dla waszej wygody i dla bezpieczeństwa. Dzięki nim nie porobicie sobie pęcherzy. Zabezpieczą też dłonie przed bakteriami. W ziemi mogą się trafić ostre kamienie, patyki, kolce, a nawet szkło. Lepiej się nie skaleczyć, bo trzeba by było robić zastrzyk przeciw **tężcowi**.

O ile na początku Antek miał wątpliwości, czy rękawiczki są naprawdę potrzebne, o tyle informacja o zastrzyku przekonała go w jednej chwili. Zdjął jeszcze czapkę z daszkiem, którą zwykle nosił przodem do tyłu, poprawił ciemną czuprynę i wziął się do roboty.

Julka dołączyła tuż po nim, a po chwili cała ekipa machała grabkami i wybierała niepotrzebne resztki.



Antek był oczywiście najszybszy. Nie tylko dlatego, że taką miał naturę, ale także dzięki wzrostowi oraz zasięgowi ramion. Był po prostu wysoki jak na swój wiek i za każdym razem sięgał dalej niż koledzy. Mniejsze Julka i Zuzia miały trochę trudniej. Franio zaś nie spieszył się wcale, pracował swoim zwyczajnym tempem, za to robił to bardzo dokładnie. Nagle Julka rzucała grabki i wrzasnęła wniebogłosy.

– Co się stało? – Pani Ewa podbiegła, wystraszona nie na żarty.

– Tam! – Dziewczynka wskazała palcem. – W ziemi... Napadł mnie jakiś stwór!

Na te słowa chłopcy mocniej chwycili swój sprzęt i otoczyli poletko, gotowi, by w każdej chwili bronić koleżanki.

Pani Ewa uspokoiła ich gestem, przykucnęła, popatrzyła uważnie i od razu zidentyfikowała poczwara.